Biblioteka Główna UMK Toruń
Arch. Emigracji
940790

Z Bogiem Czy Bez Boga.

DRAMAT RELIGIJNO-SPOŁECZNY W 4 OBRAZACH.

Na tle polsko-amerykańskiego życia i tytanicznych bojów o niepodległość Polski z r. 1920.

Napisał:

Ks. b-p. Fr. Hodur.

584260 AE 32

Z Bogiem Czy Bez Boga.

DRAMAT RELIGIJNO-SPOŁECZNY W 4 OBRAZACH.

Na tle polsko-amerykańskiego życia i tytanicznych bojów o niepodległość Polski z r. 1920.

Napisał:
Ks. b-p. Fr. Hodur.

DRUKIEM
STRAŻY
SCRANTON,
PA., U. S. A

BIBLIOTEKA
UNIWERSYTECKA
w Toruniu

940780

K. 157/07

SŁOWO WSTĘPNE.

Poniższy dramatyczny obraz pod napisem „Z Bogiem, czy bez Boga," napisałem w Scrantotn w czasie kilku wieczorów po powrocie z Polski, to jest po 28-ym lipca b. r., ale ideę tego obrazu nosiłem w sobie od dłuższego czasu. Gdym się nasłuchał rozmów w Warszawie, Krakowie, Płocku, w mieście i na wsi, rozmów księży różnych wyznań, polityków, dziennikarzy i robotników, osoby dramatu nie dały mi spokoju. Domagały się tego wprost odemnie, abym je wyprowadził na światło dzienne, abym im pozwolił rozmówić się z sobą publicznie, przeżyć kilka godzin.

Jedna z tych dramatycznych osób argumentowała ze mną w ten mniej więcej sposób: Polacy, tak amerykańscy, jak europejscy, nie doceniają wolności, jaką się obecnie cieszą. Pozwalają się bałamucić i prowadzić na różne manowce. Boją się wysiłku. Religia jest dla nich zabawką, Chrystus jakąś mistyczną postacią, a nie źródłem życiowej Prawdy.

Chrześciaństwo dobre jest na niedzielę, ale ciężarem w tygodniu, ciężarem dla księdza, polityka, fabrykanta, robotnika i chłopa.

Wciska się do Polski pogarda dla Polski, pogarda dla męczeńskiej przeszłości, dla przedstawicieli narodu i rządu. Wlewa się nieufność we własne siły, a wyolbrzymia moc i kulturę zagraniczną. Wszystko to, co powstaje w zmartwychwstałej Polsce, ma być podług tych podjudzaczy podłe, zgangrenowane, skazane na śmierć.

Są tacy, którzy się jawnie chełpią z bezbożności i twierdzą, że dopiero wtedy będzie dobrze w Polsce, gdy drogi prowadzące do kościołów porosną chwastem.

Polskę opanowało duchowe znużenie; naród młody, a myśli, czuje i działa, jakby przeżył już conajmniej pięć tysięcy lat.

My, to znaczy osoby dramatu, kochamy naród polski, bośmy cząstką jego, uświadomioną, żywą, patrzącą się na Ojczyznę jako na matkę, której się dzieje straszna, śmiertelna krzywda. Czy mamy milczeć i patrzeć spokojnie, jak głupota, nikczemność, próżniactwo, pycha, zdrada i bezbożność wbijają w serce Polski zatruty sztylet? Pozwól, że wystąpimy, podniesiemy głos protestu i powiemy ze wzniesienia kilka słów prawdy, zachęty, ostrzeżenia i miłości. Pozwól!

Ha, kiedy o to się rozchodzi, to niema rady, odpowiedziałem. Wystąpcie po kolei, mówcie, działajcie, tylko na miłość Boską nie róbcie mi nowych kłopotów, bo i starych mam aż za dużo.

I w ten sposób powstały te cztery obrazy, które zatytułowałem: „Z Bogiem, czy bez Boga."

Osoby Dramatu:

BRONISŁAW KONIECKI, przewódca polskich robotników w jednem z miast Nowej Anglii w Ameryce.

KAROLINA, jego żona, zwolenniczka Polskiego Narodowego Kościoła.

WANDZIA, sześcioletnia ich córeczka.

LEONIDAS BOBRYKOW, przewodniczący Sowieckiej Rady w Moskwie.

MAURYCY NURKIN, jeden z komisarzy ludowych.

FILIP LUBECKOJ, członek Rady.

KONSTANTY MIRSKIJ, członek Rady.

KOLUK, komisarz.

PROFESOR, stary patryota rosyjski.

RUCHLA EISENBERG, działaczka sowiecka.

GOLDBACH—ZARZYCKI, żołnierz — powiernik sowiecki

KASPER RABIK, kościelny.

WICEKOMISARZ.

POLAK — STARZEC, stróż kościelnego skarbca.

Żołnierze, więźniowie podziemnych lochów, bolszewiccy agenci.

Rzecz dzieje się w roku 1920.

OBRAZ I.

Scena 1.

Za podniesieniem kurtyny wzniesienie przedstawia skromne, ale gustownie umeblowane mieszkanie. Z boku, z prawej strony, pod dużym portretem Marksa, siedzi w zadumie z gazetą w ręku Bronisław Koniecki. Po odczytaniu stosownego ustępu, zrywa się, przechadza nerwowo i monologuje.

KONIECKI: — Tam za morzem, na mojej ziemi rodzinnej, rozegra się w kilku dniach dramat dziejowy. Z jednej strony armia polska w imię patryotyzmu, zjednoczonej Ojczyzny, drobnomieszczańskiej i chłopskiej Polski, a z drugiej strony tytan ludowych, proletaryackich praw, wyobrażenie nowego porządku rzeczy, przeistoczenia świata w komunistyczne państwo — ziszczenie się snów i marzeń tysiąca tysięcy szlachetnych ludzi. Dwa prądy, dwa hasła, dwie siły zetkną się... O gdybym ja tam mógł być, i skłonić rodaków, aby zaprzestali bezużytecznego oporu, nie sprzeciwiali się przeznaczeniu, ale przeciwnie, pomogli zwycięskim zastępom Lenina i Trockiego w przemarszu do Berlina i Paryża i zbudowaniu wszechświatowego państwa, w któremby...

Scena 2.

(Wchodzi żona Konieckiego Karolina z córką, sześcioletnią Wandzią).

KAROLINA: — Daruj Broniu, że ci przeszkadzam w monologowaniu i politycznych rozważaniach, ale wiesz, że one mię zawsze niepokoją i oddalają drogiego mężunia od żony, a jeszcze droższego ojczulka od córki, dlatego obie przypuszczamy szturm i chcemy go wydrzeć z tego zaczarowanego koła, a uprowadzić w miejsce pokoju, ciszy i wyrównania....

BRONISŁAW: — Ha, ha, ha, ha! A więc na cmentarz? I to wieczorem?

KAROLINA: — Bynajmniej. Do kościoła....

BRONISŁAW: — (Śmieje się). Ha, ha, ha, ha! To prawie na jedno wychodzi.... A toście się wybrały dzisiaj. Wywlec mię do kościoła. Skądże ci wpadła taka szalona myśl? Wiesz przecie, że nie byłem już w kościele siedem lat, od czasu naszego pobrania się, kiedy to uległem twoim czarom i prośbom i dałem się związać stułą księżą.

Ułożyliśmy się, że na punkcie religijnym będziemy tolerancyjnie względem siebie usposobieni. Było nam z tem dobrze ....

KAROLINA: — Tak dotąd. Ale teraz nastąpiła zmiana warunków życia....

BRONISŁAW: — A to jaka zmiana?

KAROLINA: — Nie uważasz Broniu, że Wandzia podrasta, że trzeba ją posłać do szkoły, do polskiej szkoły, boć przecie. .

BRONISŁAW: — Do polskiej parafialnej szkoły? Nigdy! Przenigdy!

KAROLINA: — A przecież zgadzałeś się na to, że ja wychowam serce twojej córki, a ty umysł, a obydwoje całego człowieka, a serca nie można kształcić bez religii, bez ojczystego i macierzystego języka, tembardziej, że córkę zamierzam posłać do szkoły Narodowego Kościoła ...

BRONISŁAW: — Wszystko jedno. To samo mamienie człowieka, choć w innej formie. Skutek i cel jeden i ten sam: usypianie duszy ludzkiej, okiełzanie energii, woli mas roboczych, podporządkowanie się pod panowanie kleru....

KAROLINA: — Mylisz się.

BRONISŁAW: — Mylę się? A więc pod czyjesz panowanie chcą was poddać ci nowi prorocy, nauczyciele i księża Narodowego Kościoła?

KAROLINA: — Pod panowanie Boga przez Jezusa Chrystusa....

BRONISŁAW: — Cóż to ma znaczyć to jakieś kabalistyczne określenie?

KAROLINA: — To ma znaczyć, że poszczególny człowiek i ludzkość cała mają poznać Bożą wolę i prawa z tej woli płynące, prawa fi-

zyczne, duchowe i moralne i kierować się niemi tak w prywatnem, jak i publicznem życiu. Nasz Kościół wychodzi z tego założenia, że we Wszechświecie istnieje moralny porządek, że wtedy się człowiek uszczęśliwi, wtedy osiągnie cel swego bytu, gdy pozna ten porządek i zastosuje się do niego. Inaczej...

BRONISŁAW: — Cóż inaczej?

KAROLINA: — Inaczej jest, albo będzie rozbitkiem, wykolejeńcem...

BRONISŁAW: — Aż tak? To niby jednym z tych rozbitków i wykolejeńców mam być ja, albo to wielkie państwo proletaryackie, które powstaje na gruzach caryzmu i międzynarodowego kapitału w Rosyi bez pytania się Boga, czy raczy pozwolić, aby genialny Lenin sprzątnął zgniłą czeredę militarzystów rosyjskich i zbudował społeczeństwo bez Niego, t. j. bez Boga, bez Chrystusa, bez kościołów, bez ołtarzy, bez modlitwy i bez księży takich, czy owakich?

KAROLINA: — Ale mu się to nie uda.

BRONISŁAW: — Czyś ty ślepa, czy nie widzisz jak rośnie sowiecka republika?!

KAROLINA: — To próba, ale pytanie, co z tego chaosu wyniknie... Pytanie, czy program Marksa w tłómaczeniu Lenina da się urzeczywistnić, czy chłopskie masy zgodzą się na bezreligijny komunizm, a cały naród, a właściwie

zbiór narodów, da sobie wydrzeć religię, najświętsze i najgłębsze uczucie, do jakiego zdolne ludzkie serce...

BRONISŁAW: — Co, co, co? Czyś ty zwaryowała? Taż ty mówisz, jak jaki klecha podstępny, zdradziecki. Jak ja widzę, to ten twój Kościół Narodowy niebezpieczniejszy od starego, rzymskiego, bo wpaja w swych wyznawców zawrotne, daleko sięgające hasła, zamiary i plany o odrodzeniu i uzdrowieniu ludzkości, fanatyzuje ich i może stworzyć poważną i groźną zaporę przeciw bezbożnemu i rewolucyjnemu bolszewizmowi. Gdyby się przyjął wasz Kościół w polskim narodzie, byłby zaporą przeciw idei Lenina i Trockiego.

KAROLINA: — Tak, to prawda.

BRONISŁAW: — Wiesz ty co, żeś ty nie powinna uczęszczać do tego rodzaju Kościoła, a tem mniej brać z sobą niewinnego dziecka, aby się nie przejęło tego gatunku zasadami. Ty tam więcej nie pójdziesz! Zakazuję ci!

KAROLINA: — Zakazujesz? Jakiem prawem?

BRONISŁAW: — Prawem, nie prawem, ale ze względu na nasze wspólne dobro, na nasze dziecko.

KAROLINA: — A właśnie. To wspólne dobro matki i dziecka wymaga, abyśmy poszły dziś

na nabożeństwo wieczorne i posłuchały kazania naszego biskupa o Królestwie Bożem w duszy ludzkiej. (Zwraca się do córki) Pójdziemy Wandziu, tata zajęty poważnymi problemami, zostanie w domu. Chodź córeczko!

BRONISŁAW: — Nie chodź! Ani się ruszcie. Ja nie pozwalam!

KAROLINA: — Bronisławie! W zapamiętaniu robisz się śmiesznym i nielogicznym. Przecie i twoje filozoficzno-społeczne zasady uznają tolerancyę religijną, pozwalają na prywatne wyznawanie religii. Nieprawdaż?

BRONISŁAW: — Tak, o ile ona nie podkopuje ploretaryackiego porządku rzeczy, opartego o komunizm i bezbożność. Gdyby jednak ta burżuazyjna tolerancya sprzeciwiała się państwu przyszłości, albo osłabiała ten nowy porządek rzeczy, musi być zniszczona, z istoty ludzkiej wydarta....

KAROLINA: — To ma znaczyć?

BRONISŁAW: — że nie pójdziesz do kościoła z Wandzią. Masz dziś wieczór ważniejsze rzeczy do zrobienia.

KAROLINA: — A jednak ja pójdę, bo jestem żoną, a nie sługą, człowiekiem wolnym, żyjącym dzięki Bogu w Ameryce, a nie w Rosyi. Chodź Wandziu.

BRONISŁAW: — Ani kroku! Nie pójdziesz, nie pozwalam!

(Powstaje szamotanie się. Wreszcie Karolina wyrywa się z córką i wychodzą za drzwi. Słychać za sceną płacz dziewczynki i wykrzykniki: Mamo, ach mamo!....).

Scena 3.

BRONISŁAW: — (Jakiś czas szaleje po scenie. Uspakaja się nieco). Poszła i powlokła dziecko do tej jaskini ogłupiania i fanatyzowania. Dla niej więcej znaczy jakieś Królestwo Boże w duszy, kazanie jakiegoś wywłóki — biskupa, niż mąż, miłość, ognisko domowe, harmomonia serc — życie.... Ażeby pioruny!

O gdybym ja mógł wydrzeć z serca tej kobiety to straszne dla mnie, tak bezdennie głupie, a tak mnie poniżające uczucie religijne, tego nieuchwytnego i niebezpiecznego rywala, gdybym mógł znaleść się z nią tam za morzem, w potężnej republice sowieckiej, albo w Polsce na placu boju, gdzie się leje krew o nowy porządek, wyśniony ład, toby wtedy dopiero zaświtało dla mnie prawdziwe szczęście. Tu duszę się. Marnieję! (Otwiera okno. Słychać śpiew: „Tyle lat my Ci, o Panie," dolatujący z niedalekiego Na-

rodowego Kościoła). Co to za melodya dziwna. To jakby jakiś marsz, pochód, szturm!

(Siada na krześle pod oknami i zasypia. Od kościoła płynie śpiew: „Niechaj będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament." Bicie dzwonów).

Kurtyna spada.

OBRAZ II.

Sala komisarzy ludowych w Moskwie.

Scena 1.

ŻOŁNIERZ, utrzymujący porządek na hali:— Komisarzu! Na korytarzu czeka z kobietą jakiś polak i doprasza się natychmiastowego przyjęcia. Podał mi to oto pismo do wręczenia towarzyszowi komisarzowi Bobrykow. (Oddaje list i wraca na swe miejsce przy drzwiach).

BOBRYKÓW: — (po odczytaniu pisma). List od naszego przyjaciela z Ameryki, Aarona Maluszkina, który daje znakomite świadectwo proszącemu o posłuchanie Bronisławowi Koneckiemu i jego małżonce Karolinie. Twierdzi on, że rzeczony Koniecki może oddać naszej sprawie w Rosyi i Polsce znakomite usługi. Cóż sądzicie, możemy go teraz przyjąć, czy aż po o-

mówieniu sprawy Gajdakowa, Lipowej i Żarlickiej?

TOWARZYSZ LUBECKOJ: — Choćby dla urozmaicenia, zajmiemy się tym importowanym z Ameryki polakiem. Omawialiśmy sprawę estońską, gruzińską, łotyską i litewską, to nie zaszkodzi i polska. Ha, ha, ha!

Rus i polak dwa bratanki
Tak do szabli, jak do szklanki.

(Wszyscy się śmieją).

BOBRYKÓW: — Może tak było kiedyś, ale dziś te dwa bratanki słowiańskie stoją na wprost przeciwnych biegunach — rus niesie czerwoną chorągiew wyzwalającego się proletaryatu świata, a polak białego orła szlachetczyzny, kapitalizmu i klerykalizmu. Są oczywiście wyjątki, wszak mamy w naszem gronie Dzierżyńskiego, Kołątajową i Balika — ale na ogół Polska jest krajem obskurantyzmu. Dlatego należy nam zużyć każdą siłę podatną do ociągnięcia światotwórczego celu.

WSZYSCY: — Da, da, da.

BOBRYKÓW: — (do żołnierza) Towarzyszu! Możesz wprowadzić amerykańskiego polaka z żoną.

Scena 2.

(Wchodzi Koniecki z żoną).

BOBRYKÓW: — Nasz przyjaciel i przedstawiciel tajny w Ameryce, pracujący dla sprawy pod imieniem Aaron Maluszkin, donosi nam we wręczonym co dopiero liście, że towarzysz Bronisław Koniecki pracował w partyi socyalistycznej dla naszych ideałów, że z tego powodu cierpiał, narażał się na niebezpieczeństwo i mimo ogromnych trudności, dokonał wielkich rzeczy, bo zdołał zorganizować między polakami kilkanaście grup uświadomionych, czynnych, celowo pracujących. Towarzysz Koniecki chce w tej przełomowej chwili oddać się z żoną pod naszą komendę, to znaczy pod rozkazy komisarzy ludowych, by przy pomocy Rosyi sowieckiej dokonać przewrotu w Polsce. Czy tak towarzyszu Konieckij? Da?

KONIECKI: — Tak jest w rzeczywistości. Ale najpierw pragnę wam złożyć wielcy przedstawiciele Proletaryatu Świata w ogólności, a wyzwolonej Rosyi w szczególności, hołd od polskich towarzyszy w Ameryce. Wasze hasła i czyny zbudziły z letargu i polskiego robotnika. Czeka rozkazu, aby z bratem, towarzyszem rosyjskim potargać resztę węzłów i zaprowadzić na całym świecie porządek i ład w myśl największego teoretyka Marksa i największego męża czynu Mikołaja Lenina. Jako znak wspólnoty ideałów składam wam od towarzyszy w Ameryce skromny dar pięćdziesiąt tysięcy dolarów i oddaję siebie samego z żoną, towarzyszką, do rozporządzenia komisarzom rosyjskiego proletaryatu.

(Na sali zapanowało po tem oświadczeniu ogromne poruszenie. Komisarze wstają od stołów, klaszczą w ręce, śmieją się, wykrzykują, otaczają Konieckiego i jego żonę, ściskają ich ręce, klepią po ramieniu).

KOMISARZ BOBRYKÓW: — (dzwoni i powołuje towarzyszy do porządku). Towarzysz polak wniósł nam trochę entuzyazmu, ciepła i braterstwa, oprócz znacznej sumy prawdziwych amerykańskich dolarów. To rzecz wielka i ważna, bo dotąd wysyłaliśmy pieniądze na propagandę z Moskwy, obecnie zaś polak przynosi pieniądze do Moskwy. Lecz skonstatowawszy ten ważny zwrot, wypada nam wrócić do omówienia i zadecydowania sprawy towarzysza Konieckiego i jego małżonki.

Co o tem sądzicie towarzysze? Jakie wasze zdanie? Wasza wola? Kto chce zabrać głos w tej sprawie? Towarzysz Mirskij? Haraszo!

KOMISARZ MIRSKIJ: — Gdybym nie był

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

największym między wami bezbożnikiem, tobym mógł przypuszczać, że to sama opatrzność Boska zsyła nam w tym momencie towarzysza Konieckiego za współpracownika, na propagandzistę idei bolszewickiej w Polsce, a zwłaszcza na pracę przygotowawczą i wychowawczą. Do tej roboty ideowej, duchowej, rewolucyjnej propagandy nada się nasz nowy towarzysz znakomicie. Wyczuwam to z jego pierwszego wystąpienia. Lecz wytłómaczę się jaśniej, o co mi się rozchodzi.

Dwa tygodnie temu omawiałem polską sprawę z komisarzami ludowymi dla spraw zagranicznych i wojskowych, oraz z towarzyszem Dzierżyńskim, Balikiem i Kolukiem i przyśliśmy do tego przekonania, że nie będzie trudno zawojować Polski orężem, że nasi kozacy i artylerzyści dadzą sobie radę z żołnierzykami Piłsudskiego. Wojenna przeprawa z Polską — to przemarsz wojskowy od Dniepru po Wisłę, Wartę i Dniestr, to wspaniała parada i pohulanka po Polsce, ale utrzymanie Polski w obrębie sowieckich republik Wszechrosyi, to rzecz inna, trudniejsza, a może nawet niebezpieczna?! Pamiętajmy o tem, że polak to wieczny rewolucyonista, a najniebezpieczniejszy wtedy, gdy broni Ojczyzny, wiary, religii, albo walczy o wolność ludzkości. Wtedy nie pomoże Sybir, Petropawłoska twier-

dza, albo nahajka, bo jakaś moc tytaniczna nurtuje w wnętrzu jego duszy i płynie niewidzialnymi łożyskami. Tę moc polską, ten religijny fanatyzm, należałoby zwalczyć inną mocą, wydrzeć z duszy religijne wierzenia, zniwelować rolę, na której rośnie zabobon, fanatyzm i zaciekłość, a posiać ziarna humanizmu, bezbożności i prawdziwej, naszej wszechruskiej i wszechludowej wolności. Do tej przygotowawczej i wychowawczej roboty w Polsce, roboty propagandzisty bezbożności sowieckiej, nadaje się bardzo towarzysz Koniecki i jego czarowna towarzyszka życia. Pojedzie do Polski za naszą zwycięską armią i stworzy sobie za nasze pieniądze przy sowieckim rządzie w Warszawie, Wilnie, Poznaniu, Krakowie i Lwowie specyalne komitety, których głównem zadaniem będzie walka z Kościołem, księdzem, religią, Bogiem. Walka rozumna, cicha, celowa, obliczona na dłuższą metę, ale zwycięska. Niech nas kosztuje, co chce, ale zniszczym w Polsce religijny zabobon, a wtedy będzie Polska nasza. Nasza na zawsze! Co się nie udało Iwanowi Groźnemu, Piotrowi Wielkiemu, Katarzynie II-ej i jej następcom, to się uda sowieckiej Rosyi. Zagarniem Polskę na zawsze! Wcielim ją w europejsko-słowiańskie państwo rad robotniczych i wojskowych, a potem pojdziem na podbój reszty

świata. (Gromkie okrzyki i oklaski). Skończyłem, poddaję mój plan pod rozwagę towarzyszy. (Ponowne oklaski).

BOBRYKÓW: — Jak widzę z oklasków i potakiwań, to plan towarzysza Mirskiego trafił wszystkim do przekonania. Nie pozostaje więc nic innego, jak tylko przygotować się towarzyszowi Konieckiemu i jego żonie do propagandowej roboty. Armia nasza wkroczy do Polski w kilku dniach. Zgłoś się towarzyszu po bliższe informacye do komisarza wojskowego. My zaś przystąpimy do sprawy odłożonej Gajdakowa i współwinnych. (Żołnierz otwiera drzwi).

Scena 3.

KOMISARZ MAURYCY NURKIN: — Za pozwoleniem. Sprawa poruszona przez towarzysza Mirskiego jest zbyt ważna, żebyśmy ją mogli załatwić tak za jednym zamachem, a zwłaszcza sprawa współpracownictwa obydwu małżonków w tym samym kierunku. Jeśli nie macie nic przeciw temu, a i towarzyszka Koniecka pozwoli, to jej stawię kilka pytań. (Głosy: mówić, mówić).

BOBRYKÓW: — Proszę kwestyonować.

NURKIN: — Jakimi językami włada towarzyszka w mowie i piśmie?

KONIECKA: — Polskim, angielskim niemieckim, rosyjskim i francuskim.

NURKIN: — Ganc git, (śmiech towarzyszy) to jest chciałem powiedzieć: haraszo, bardzo dobrze. Czy zna buchalteryę?

KONIECKA: — Znam.

NURKIN: — Stenografię?

KONIECKA: — Także znam.

NURKIN: — Pisze na maszynie?

KONIECKA: — Tak.

NURKIN: — A czy towarzyszka wyznaje jaką religię?

KONIECKA: — (Milczy).....

NURKIN: — Nu... Niech się towarzyska nie wstydzi i nie wypiera. My wiemy, że polki są zapalonemi wielbicielkami Chrystusa, Watykanu.... lubią cierniowe korony, talizmany, krzyże, krwawe blizny.... cuda....

KONIECKA: — Mężu, czy ja mam odpowiadać na tego rodzaju pytania?

KONIECKI: — Sądzę, że będzie lepiej, gdy odpowiesz na wszystkie pytania bez zastrzeżeń, a towarzysze uwzględnią tę smutną okoliczność, żeś nie miała dotąd sposobności wyzbyć się religijnych wierzeń.

KONIECKA: — Pytaj się pan.

NURKIN: — Pan?

KONIECKA: — Towarzysz....

NURKIN: — Haraszo. Vortraeflich. Wybornie. Czy towarzyska wierzy w jakiego Boga?

KONIECKA: — Nie w jakiego, ale w prawdziwego, jedynego, wszechmocnego, miłosiernego i sprawiedliwego Boga — Przyczynę Wszechbytu, Ojca i ostateczny cel człowieka....

NURKIN: — I wierzy, że ten miłosierny i sprawiedliwy Bóg stworzył człowieka, a pozwala mimoto go gnębić i mordować carom, królom i kapitalistom?

KONIECKA: — Dopuszczał do czasu, ale tenże Bóg zsyłał ludzkości proroków, nauczycieli, filozofów, przewódców, którzy nawoływali lud do oświaty, do pracy, do organizacyi, budzili go z uśpienia i ciemnoty, a wlewali poczucie godności i pragnienie szczęścia i sprawiedliwości.

NURKIN: — Ha, ha, ha! Czy mogłaby towarzyszka wymienić imię jakiego Bożego męża, któryby głosił w imię religii hasła miłosierdzia i sprawiedliwości społecznej, prawa ludu, których potępiał wyzysk, tyranię i klerykalne pasożytnictwo? Czy żył kiedy prawdziwie religijny, a równocześnie szczery przyjaciel ludu, nawołujący do walki i wyzwolenia proletaryatu? Żył, czy nie żył? Powiedz, wyrecytuj te imiona szlachetna polko!

KONIECKA: — I owszem. Cały szereg. Znajdziesz ich towarzysz w każdym narodzie, w

każdym czasie. Nie obce ci pewnie imiona Izajasza, Aggeusza, Micheasza, Habakuka, a przedewszystkiem Jezusa z Nazeretu. Z polskich wodzów ducha Mickiewicz, Słowacki, Marya Konopnicka stali po stronie wydziedziczonych mas i prorokowali ich wyzwolenie. W ostatnim czasie włączył program sprawiedliwości społecznej w swoje Credo — wierzę, Polski Narodowy Kościół w Ameryce....

NURKIN (i inni komisarze): Jaki Kościół?

KONIECKA: — Polski, Narodowy.

BOBRYKÓW: — Co to za kościół? Ja o nim nie słyszałem.

KOMISARZ KALUK: — To drobna polska sekta powstała w Ameryce na tle nieporozumień polaków z rzymskimi biskupami....

KONIECKA: — To nie sekta, ale Chrystusowy Kościół, mający odrodzić i zbawić polski lud, polski naród.

NURKIN: — Może to jakie nowe objawienie Boże przeznaczone specyalnie dla polskiego narodu?

KONIECKA: — Nie nowe objawienie, ale zastosowanie odwiecznych prawd Chrystusowych w życiu, w rodzinie, w państwie, zrealizowanie ewangelii, budowanie Królestwa Bożego w duszy poszczególnych jednostek i całego ludzkiego spo-

łeczeństwa, ale najpierw w Polsce, w moim narodzie, w mojej Ojczyźnie....

KONIECKI: — Karolina! Co ty mówisz, czyś oszalała? (Zwraca się do komisarzy). Mam nadzieję, że gdy moja żona pozna bliżej wspaniałe rezultaty, jakie już osiągnęła największa Rewolucya świata, zmieni swe zdanie o chrześciańskiej religii i będzie mi pomagała dzielnie w propagandzie wprost przeciwnych haseł: nauki Marksa i Lenina....

NURKIN: — Towarzysz się łudzisz. Byłoby wielkim błędem z naszej strony posłać w polskie strony do propagandy bezbożności i międzynarodowych zasad tego rodzaju pomocnicę, jak towarzyszka Koniecka, owianą religijną egzaltacyą i polskim patryotyzmem. Jej miejsce jest tu, w Moskwie. Tu ona będzie bezpieczna i pożyteczna....

BOBRYKÓW: — Towarzysz Nurkin ma słuszność.

NURKIN: — Jeśli więc nie będzie sprzeciwiało się waszym zamiarom towarzysze, tobym prosił, abyśmy przeznaczyli na pomocnicę towarzyszowi Konieckiemu moją sekretarkę, towarzyszkę Ruchlę Eisenberg, a towarzyszka Koniecka zajmie jej miejsce w mojem biurze.... Wysłannik do Polski zyska w towarzyszce Eisenberg znakomitą, wypróbowaną siłę, świetną organizatorkę, propagatorkę pierwszej klasy, a patryotka polska znowu przyzwyczai się powoli pod mym kierownictwem do skutecznej służby dla sowieckiej Rosyi.

KONIECKA: — Ja męża nie opuszczę!

NURKIN: — Towarzyszka zapomina, że oddawszy się dobrowolnie z mężem do dyspozycyi komisarzy ludowych, nie rozporządza więcej swą wolą, ale rozporządza nią rząd sowiecki, a ten przeznacza towarzyszce miejsce w mojem biurze, abyś mogła zużytkować swe wiadomości i zdolności językowe dla dobra sowieckiej Republiki.

KONIECKA: — A jeśli nie spełnię rozkazu? Jestem amerykańską obywatelką! Wolną kobietą!

NURKIN: — Towarzyszka się myli. Z chwilą, gdy towarzysz Koniecki opuścił sekretnie Amerykę, oddał się na usługi Rosyi i usługi zostały przyjęte, stał się obywatelem sowieckich republik, stracił sam obywatelstwo amerykańskie, a z nim i jego żona. Obywatelka podlegasz prawom rosyjskiego państwa. Wolno ci nie słuchać tych praw, ale w takim razie bierzesz odpowiedzialność za swój lekkomyślny krok. Rozkazy sowieckiego rządu muszą być wypełnione skrupulatnie, albo....

KONIECKA: — Albo co?

NURKIN: — Towarzysze porządkowi, ot-

wórzcie podwoje od poczekalni takich osób, które nie uznają i nie słuchają praw ludu!

Scena 4.

(Żołnierze otwierają drzwi z prawej strony prowadzące do podziemi. Z otchłań tych wydobywają się przeciągłe, straszne jęki i wołania).

KONIECKA: — Słyszysz ty, mężu? Co to za głosy? Co to znaczy? Na Boga żywego, gdzie ja jestem?!

NURKIN: — To głosy tych, co wierzą w Boga, a nie wierzą w sowiecką Rosyę, którzy słuchali praw cara, a nie chcą słuchać praw płynących z woli Proletaryatu!

(Gdy tych słów domawia, słychać na dole krzyki, rozkazy, strzelanie. Do bramy tłoczą się więźniowie. Przez bagnety żołnierzy przebija się starzec pokrwawiony, odarty; w ręku trzyma rewolwer wydarty żołnierzowi).

STARZEC: — Ja wiem, że zginę. Macie przemoc, macie broń, kryminały i oszalałe masy. Ale wieccie kaci Rosyi, że wy nie lepsi od carów i ich czynowników. Oni rządzili żelazem, krwią i zgrozą, wy robicie to samo! Biada wam! Przeklinam was, jak mój ojciec i dziad przeklinał cara. Niech Bóg was skarze za krzywdy ludu, moje, za wydartą wolność! Biada, biada wam krwawi kaci!

NURKIN: — żołnierze! Zróbcie z tym szaleńcem porządek! A i tam w piwnicach zakradł się widocznie jakiś nieład. (Krótkie szamotanie się żołnierzy z więźnami). Jak mógł tu przedostać się ten zwaryowany profesor?

BOBRYKÓW: — Miał stanąć jako świadek w sprawie Gajdakowa. Był trzymany w pogotowiu.

NURKIN: — A prawda... Mam nadzieję, że obywatelka Koniecka zrozumiała poglądową lekcyę i obejmie w kilku dniach swą robotę u komisarza spraw wewnętrznych, a towarzyszka Eisenberg pojedzie z nowym naszym propagatorem do Polski, aby wyrwać z Jej duszy religijne wierzenia.

KONIECKA: — Tego nikt nie dokaże!

NURKIN: — Zobaczymy.

(Kurtyna spada).

OBRAZ III.

Scena 1.

(Kancelarya Konieckiego i Ruchli Eisenberg w zakrystyi kościoła rzymsko-katolickiego, zajętego przez bolszewików w Grzymałowie, mieścinie położonej niedaleko Warszawy, zagrożonej przez armię rosyjską. Stoły i stołki założone stosami papierów, książek i gazet).

EISENBERG: — Dziś nam pójdzie robota raźniej. Nasza armia pędzi polaczków, pardon towarzyszu Konieckij, chciałam powiedzieć armię burżujską, to siły wolnego człowieka powiększają się w dwujnasób, w dziesięcioro. Radość rozpiera mi piersi. Chciałabym cały świat uścisnąć, a najpierw ciebie towarzyszu.

KONIECKI: — Zabierzmy się energicznie do roboty, do naszej roboty. Niedaleko stąd nasza proletaryacka armia stoczy niezadługo zwycięski bój o posiadanie perły polskich miast — Warszawy, stolicy polskich magnatów, kleru, mieszczan, a my tu gotujemy inną walkę, inny bój, dla przyszłości roboczego ludu może ważniejszy, niźli bój na bagnety, bo bój o wolność człowieka, o wyzwolenie z religijnych pęt...

EISENBERG: — Mówisz towarzyszu pięknie, gładko, ale jakimś głosem przytłumionym, przygnębionym, bez radości, bez zapału. Dwa tygodnie temu, gdyśmy w Mokwie układali plany religijno-społeczne dla Polski, mówiłeś towarzyszu Koniecki z takim zapałem, przekonaniem i ogniem, że aż się zakochałam w tobie...

KONIECKI: — Towarzyszka zbyt łaskawa dla mnie i żartuje ze swego współpracownika nawet w tak poważnym momencie, jak obecny.

EISENBERG: — Nie żartuje bynajmniej, ale mówi prawdę, może największą swego życia,

bo prawdę szczerej, serdecznej i głębokiej miłości.

KONIECKI: — (Robi ruch, jakby chciał przerwać wyznanie).

EISENBERG: — Towarzyszowi się wyda dziwnem, że ja, jego przygodna sekretarka, wyznaję mu miłość, miłość, która się zrodziła we mnie przy pierwszem naszem spotkaniu, gdyś malował przed komisarzami plany walki o prawdziwą wolność ludzkiej istoty, ale ja nie mogę postąpić inaczej... ja nie mogę wyrwać tego uczucia z serca, z mej istoty. Ty musisz zrozumieć...

KONIECKI: — Ależ towarzyszko, zapominasz, że nie jestem człowiekiem wolnym, że ja mam żonę, drogą mi żonę, że ona tam biedna tęskni za mną, o mnie myśli, marzy o połączeniu się...

EISENBERG: — Ha, ha, ha! Być może, że marzy o połączeniu, ale... z Nurkinem, swym szefem, komisarzem Nurkinem.

KONIECKI: — To są gołosłowne przypuszczenia towarzyszki. Chcesz mię drażnić, gnębić...

EISENBERG: — Nie. Ja znam Nurkina.

KONIECKI: — Ale nie znasz mej żony, polki.

EISENBERG: — Znam Nurkina, powtarzam. Słuchaj mię towarzyszu, ja nie mówię na wiatr. Nurkin to największy łotr i łajdak, jaki chodzi po rosyjskiej ziemi. Gdym została jego sekretarką, byłam żoną ubogiego handlarza Eisenberga. Uczciwą żoną, uczciwą kobietą, religijną aż do fanatyzmu żydówką. Bo choć ojciec mój, rabin z Kijowa, dał mi dobre szkolne wykształcenie, ale wpoił we mnie bojaźń Bożą, szacunek dla synagogi, starszych, sympatyę dla ludzkiej niedoli. Ten zbrodniarz, który się teraz opiekuje twą żoną, wyrwał mi to wszystko z duszy w przeciągu jednego roku. Zwabił najpierw mego męża obietnicą majątku, wpływów, kontraktów, potem mię uwiódł podstępnie, a wreszcie zrobił ze mnie swoje narzędzie. To samo zrobi z twoją żoną.

KONIECKI: — Milcz towarzyszko, zakazuję ci mówić w ten sposób o mej żonie!...

Scena 2.

(Wchodzi żołnierz).

ŻOŁNIERZ: — Jeśli broszury są gotowe do ekspedycyi, to pojadę po pomocników i zajmiemy się robotą składnie i energicznie. Niech świta słońce nowej bezbożnej kultury nad ciemną, fanatyczną, a dziś już naszą Polską. Nieprawdaż towarzyszu propagator?

KONIECKI: — (milczy).

EISENBERG: — Towarzysz Koniecki nie bardzo zachwycony broszurą Kosakowa. Twierdzi, że tak ze stanowiska literackiego, jak i przed miotowego nie odpowiada swemu zadaniu. Jest poronionym płodem, niezdolnym zainteresować polskich czytelników..., a cóż dopiero ich przekonać i pozyskać dla idei ateizmu, bezbożności.

KONIECKI: — Tak jest istotnie... Autor tej broszury nie zna psychologii polskiego narodu, jego historyi, walk i cierpień. Kładzie główny nacisk na drobnostki, na nadużycia kleru, na fanatyzm i jego skutki, na rzymskie dogmaty, potęgę rzymskiego kościoła, jego ujemną robotę w ciągu wieków, ale zapomina o tem, że prawosławny, albo rzymski kościół, to nie religia, to tylko cząstka jej przejawów. To nie ta wewnętrzna siła, która wystąpiła w ludzkiej istocie jako twórczy bodziec...

EISENBERG: — Ha, ha, ha, ha...

KONIECKI: — Cóż tak śmiesznego znajduje towarzyszka w mym poglądzie?...

EISENBERG: — Nic, a nic. Ale myślę towarzyszu propagatorze, że będzie lepiej dla mnie i dla ciebie, gdy się zajmiemy teraz robotą, a filozofowanie zostawimy na później. Stosuję się tylko do rady udzielonej mi przed chwilą przez towarzysza. Idę do mego biurka po dokładny

spis miasteczek i wsi, do których mamy posłać jutro broszurę towarzysza Kosakowa pod tytułem: Bez Boga. Ha, ha, ha, ha! (wychodzi).

Scena 3.

ŻOŁNIERZ: — Szatan, nie kobieta. Strzeż się jej towarzyszu propagatorze. Ona cię chce omotać, zdobyć, albo zgubić... A przedtem zgubić twą żonę.

KONIECKI: — Co mówisz? Co ty wiesz, skąd? Co cię to obchodzi?

ŻOŁNIERZ: — Jesteśmy sami na chwilkę, na którą czekałem dwa dni. Mam ci do zakomunikowania towarzyszu ważne rzeczy, od których zależy przyszłość twoja i twej żony Karoliny i córki Wandy, ale przedtem muszę cię prosić o bezwzględne zaufanie i sekret. Inaczej czeka zguba ciebie i mnie.

KONIECKI: — Na jakiej podstawie żądasz odemnie zaufania, zachowania sekretu?

ŻOŁNIERZ: — Na tej podstawie, że pragnę twego szczęścia i szczęścia twej rodziny. Jeśli nie będziesz działał prędko i stanowczo, może za dzień, dwa dni będzie za późno. Obcy ci jestem tylko pozornie, a nawet twoim wrogiem...

KONIECKI: — Moim wrogiem, a chcesz, bym ci zaufał, dochował sekretu?

ŻOŁNIERZ: — To znaczy nie wrogiem we właściwem tego słowa znaczeniu, ale w każdym razie oddany mi jesteś pod moc... pod nadzór...

KONIECKI: — Ja pod twoją moc? Kto mi cię oddał?

ŻOŁNIERZ: — Komisaryat ludowy. Po posiedzeniu, na którem wystąpiła twa żona tak szczerze w obronie religii i Polski i na którem cię mianowano propagandzistą ateizmu w zawojowanej części Polski, zawołał mię do swej kancelaryi komisarz ludowy dla spraw wewnętrznych i wydał rozkaz tej treści: Udasz się z towarzyszem Konieckim do Polski, będziesz śledził każdy krok jego, bo to polak, a więc człowiek niepewny dla naszej światobórczej sprawy. W każdym polaku siedzi rewolucyonista i nieporawny religiant, marzyciel... Nie wierz i nie ufaj mu nigdy. On dla Boga, Chrystusa, Ojczyzny poświęci wszystko. Koniecki może inny, może go Ameryka nauczyła rozumu, ale tylko może. My go nie znamy dobrze, a że to człowiek zdolny, mógłby być niebezpieczny. Miej baczne oko zwrócone na niego, pilnuj go, strzeż, a gdyby było potrzeba przeciwdziałać w wypadku nagłym — zabij!

KONIECKI: — Aż tak daleko? Ale dlaczego mi to mówisz?

ŻOŁNIERZ: — Bo cię chcę ostrzedz i rato-

wać. A najpierw ci udowodnić, że pozorny wróg jest twym szczerym przyjacielem, że jest coś większego i świętszego na świecie, co nas łączy.

KONIECKI: — Mnie i ciebie? Polaka i żyda? Bo mi się zdaje, że z pochodzenia żydem jesteś?

ŻOŁNIERZ: — Tak, nie przeczę.

KONIECKI: — Cóż nas więc łączy? Komunizm, rewolucya?

ŻOŁNIERZ: — Pozornie, tak, ale w istosie rzeczy sprawa ważniejsza, potężniejsza; osoba świętsza, większa i milion razy droższa, niż Marks i Lenin...

KONIECKI: — Nie rozumiem cię... Któż to?

ŻOŁNIERZ: — Chrystus...

KONIECKI: — Kto? Czym dobrze słyszał? Mnie i ciebie łączy Chrystus?

ŻOŁNIERZ: — Tak. Chrystus Jezus. Ubogi Mistrz z Nazaretu...

KONIECKI: — Nie! To co najmniej dziwne i śmieszne... A, a, a, może to związane z twą rolą towarzyszu, z twym urzędem względem mnie? Z urzędu szpiega? Kusisz mnie?

ŻOŁNIERZ: — Wcale nie... To związane z naszą wspólną religią, z naszą wiarą w Jezusa Chrystusa. Nie zaprzeczaj, nie protestuj, zaufaj mi i posłuchaj, a przekonasz się, że ci muszę być życzliwy i chcę ci pomódz w ratowaniu żony i

dziecka. Za jakie dziesięć minut zjawi się tu znowu towarzyszka Eisenberg, więc nie wiele czasu na zobopólne zwierzenia. Słuchaj uważnie i sądź uważnie. Jestem rodem z Łodzi. Urodziłem się 31 lat temu w gecie żydowskiem polskiego Manczester. Ojciec mój Salomon Goldbach był najpierw rabinem w Charkowie, a potem w Łodzi. Na podstawie głębokich studyów filozoficzno-historycznych i na podstawie osobistych przeżyć i doświadczeń, doszedł mój ojciec jeszcze w Charkowie do tego przekonania, że Chrystus Jezus jest prawdziwym mesyaszem żydowskiego narodu, że posiada wszystkie przymioty i rysy charakteru mesyasza, przepowiedziane przez wielkich proroków Izraela, a Jego religia wszystkie elementy nie tylko zreformowanej religii żydów, ale religii całej ludzkości... absolutnej, doskonej religii...

KONIECKI: — I te zasady głosił ojciec towarzysza publicznie?

ŻOŁNIERZ: — Najpierw przed rodziną, a gdy nawrócił nas czterech synów, dwie córki i żonę, to jest moją macochę, zwrócił się do starszych członków synagogi i pozyskał dla swych przekonań około pięćdziesiąt rodzin Wtedy sprawa stała się jawną i ojciec mój opuścił synagogę. Rozpoczęło się nasze nowe życie, pełne łaski Bożej, pracy, cierpień i walki Rzucono na nas

klątwę, zagrożono zniszczeniem ze strony starowierców i chasydów. Z drugiej znowu strony potężny kościół rzymski żądał, aby się mój ojciec wypowiedział po jego stronie, uznał jego dogmaty, to nas weźmie w obronę, a rosyjski rząd chciał związać naszą gromadkę z prawosławiem. Znaleźliśmy się między młotem, a kowadłem, podobnie jak wasz malutki Kościół w Ameryce i dlatego, gdym się o tem dowiedział od twej towarzyszu żony, o nauce, pracy i męczeństwie wyznawców Narodowego Kościoła w Ameryce, uczułem dla was sympatyę, miłość i cześć. Łączy nas ta sama Boska Moc, objawiona przez Jezusa Chrystusa, stanowimy Jego prawdziwy Kościół, Kościół oparty nie o zewnętrzną hierarchię, o zewnętrzny rząd, ale o wiarę i naukę, o ten Boski element, który łączy i ożywia wszystkich świadomych wyznawców Boskiego Nauczyciela

KONIECKI: — To wcale piękne zasady i wzniosłe słowa, towarzyszu Goldbach.

ŻOŁNIERZ: — Mój ojciec jeszcze zmienił nazwisko Goldbach na Zarzycki

KONIECKI: — A więc towarzyszu Zarzycki, ale one nie robią na mnie żadnego wrażenia. Wiesz przecie, że stoję na czele biura mającego szerzyć ateizm w Polsce

ŻOŁNIERZ: — Ja wiem to wszystko, ale wiem jeszcze więcej...

KONIECKI: — A mianowicie?

ŻOŁNIERZ: — Że towarzysz kocha swą żonę i dziecko miłością prawdziwą, głęboką, szczerą i nie pozwoli bezkarnie poniewierać swą rodziną nikomu...

KONIECKI: — Poniewierać? Oczywiście, że nie.

ŻOŁNIERZ: — Więcej niż poniewierać... pastwić się, plugawić ją, użyć za narzędzie do zaspokojenia chuci i bestyalskich instynktów...

KONIECKI: — Przecie te ewentualności nie grożą mej rodzinie w Moskwie, mej żonie, mojemu dziecku?

ŻOŁNIERZ: — Właśnie, że im grożą te ostateczności. Nie szalej towarzysz, nie okazuj głosem i poruszeniami wzburzenia. Zbliż się, słuchaj. Tak... Przedwczoraj wieczorem czytałem list towarzyszki Konstancyi Pirogow do towarzyszki Eisenberg, z którego to listu widać jak na dłoni, że towarzysz komisarz Nurkin chce zmusić twoją towarzyszu żonę, by mu była powolną, by mu zastąpiła sekretarkę — kochankę Eisenberg...

KONIECKI: — Łżesz! Chcesz mię omamić!...

ŻOŁNIERZ: — Nie używaj towarzyszu obel-

żywych wyrazów względem życzliwego ci człowieka, choć ten człowiek jest przypadkowo polskim, chrześciańskim żydem...

KONIECKI: — Przebacz, ale widzisz takie podejrzenia, insynuacye...

ŻOŁNIERZ: — To nie podejrzenia, nie insynuacye, to straszna niestety prawda! (podaje mu list).

KONIECKI: — (czyta) Ha! Na piekło samo! Gdyby to była prawda, to ten łotr nie tylko niewart nazwy towarzysza, ale nawet stryczka, czy kuli rewolwerowej. To zbrodniarz, łajdak, nikczemnik, to podlec nad podlecami. Ja go zgładze, jak podłą żmiję! (czyta) Co, co, co, moje dziecko głodzą i zmuszają je w ten sposób, aby bluźniło Polsce, Bogu, Chrystusowi, aby się wyzbyło religii i miłości nawet dla mnie i matki swojej? O nie doczekanie ich! O bestye i nędznicy! Ja was zdemaskuję wobec świata, a potem wrócę do Ameryki, albo pójdę tam! (wskazuje w stronę Polski).

ŻOŁNIERZ: — Ani jedno, ani drugie towarzyszu! Jesteś w ich mocy. Każdy twój ruch strzeżony, nie tylko przeze mnie, ale przedewszystkiem przez Ruchlę Eisenberg, która żywi nadzieję, że gdy Nurkin zgwałci twą żonę, zrobi ją swoją nałożnicą, albo bolszewicką żoną, ty się jej wyrzekniesz, a wtedy Ruchla zastąpi jej

miejsce. Czyś nie zauważył jej wstępnych kroków, umizgów, kokietowania, strojenia się?

KONIECKI: — Ja muszę wrócić natychmiast do Moskwy.

ŻOŁNIERZ: — Towarzysz wiesz, że to niemożebne, że niema narazie siły, któraby w tym okropnym i przełomowym momencie mogła cię przesunąć z polskiej ziemi do Moskwy i wyrwać twą żonę ze szpon rozpustnika nad rozpustnikami, szatana i potwora w ludzkiem ciele... Popatrz się towarzysz za okno! O milę stąd, o siedem wiorst stoją naprzeciw siebie dwie armie. Pożarna łuna, czarne kłęby dymów i drżenie ziemi zwiastuje o rozpoczęciu się epokowego zmagania nowego caryzmu z ludową Polską. Jeśli twój naród, to jest twoja i moja Polska zwycięży, to Nurkin zginie, bo on parł najbardziej o ten napad na Polskę, a wtedy Bóg uchroni twą żonę od upadku i śmierci haniebnej. Szale się ważą...

Scena 5.

(Wchodzi Maciej Rabik).

KONIECKI I ŻOŁNIERZ: — Jak tu wszedłeś człowieku?

RABIK: — Wielmożni panowie nie wiedzą o tem, że Rabik był kościelnym w tej parafii przez lat trzynaście i że ta zakrystya była terenem jego działalności, więc tu niema dla niego

tajemnic. Przyszedłem zdradzić wielmożnym panom pewne skrytki, po pewnym oczywiście warunkiem...

KONIECKI: — Co ofiarujesz, jaki towar, co chcesz sprzedawać, albo wydać?

RABIK: — Kościelne skarby.

KONIECKI: — Kościelne skarby należą do państwa sowieckiego, nie potrzebujemy ich kupować od ciebie.

RABIK: — To je sobie weźcie. Ha, ha, ha. Tak samo mówił wczoraj ten pan z ryżą brodą, który mnie kazał tu żołnierzom przyprowadzić, ale wszystkie jego rozkazy na nic się przydały. Żołnierze obszukali kościół, ołtarze, zakrystyę, piwnice, strychy, a nie znaleźli skarbów.

KONIECKI: — Czy może je kto wyniósł przedtem, może ty?

RABIK: — Wcale nie. One tu są.

KONIECKI: — Więc dlaczego ich nie wydałeś wczoraj wicekomisarzowi skarbu?

RABIK: — Nie miałem klucza do nich.

KONIECKI: — Teraz go masz, gdzie był?

RABIK: — Na cmentarzu.

KONIECKI: — Klucz do skarbów kościelnych na cmentarzu? Tłómacz się jaśniej. Co to ma wszystko znaczyć?

RABIK: — To ma znaczyć tyle, że mój proboszcz, ks. Ignacy Owsiak, którego zastrzelili

wasi żołnierze przeszłego tygodnia w piątek, miał schowany sekretny klucz do skarbca na piersiach i z tym kluczem pogrzebano go na cmentarzu w grobowcu parafialnym. Wiedziałem, że ksiądz proboszcz posiadał klucz, ale gdzie go podział w czasie zamieszania, nie miałem pojęcia. Przeszukałem wczoraj pod okiem żołnierzy wszystkie skrytki, szuflady, pozostałą po księdzu garderobę i kościelne aparaty, ale bez skutku. Dopiero w nocy przyszła mi myśl, czy przypadkowo nie wziął ks. proboszcz z sobą klucza do grobu, więc udałem się na cmentarz, otworzyłem grobowiec, trumnę, zrewidowałem należycie swego dobrodzieja i znalazłem na jego zimnych piersiach między skaplerzami i medalikami drogocenny klucz do skarbów. We dnie bałem się tu przychodzić, żeby wioskowi ludzie nie posądzali mię o jakie konszachty z wielmożnymi komisarzami, ale gdy noc zapadła, zgłaszam się, aby skończyć interes rozpoczęty wczoraj rano z tym panem o rudych włosach i rudej, krótkiej bródce.

KONIECKI: — To zapewne z wicekomisarzem Piotrem Kabalinem. (do żołnierza). Zawołajcie go towarzyszu, a i sekretarkę Eisenberg. Trzeba nam spisać dokładny protokół.

(żołnierz wychodzi).

Scena 6.

KONIECKI: — I nie baliście się Rabik iść w nocy na cmentarz, otwierać grób, trumnę, obmacywać rozkładającego się trupa księdza proboszcza Owsiaka? Nie ogarnął was strach, nie poruszyło sumienie?

RABIK: — Strach to ja miał przez małą chwilę, ale sumienie spało, jak i to ścierwo księże w sosnowej skrzyni. Sumienie już dawno zdusiłem pod gardło i nie dokucza mi więcej...

KONIECKI: — Jakże wam się udała ta trudna nader sztuka. Uciszyć sumienie, to najtrudniejsza robota...

RABIK: — Jak dla kogo. Mnie się udała ta robota bardzo dobrze.

KONIECKI: — Czy wolno wiedzieć, jakim sposobem?

RABIK: — Bardzo łatwym. Moje sumienie ogłuszył mi ksiądz, a ja je sam potem dobiłem. Gdy zostałem kościelnym w tej tu parafii, był proboszczem starzec ks. Jan Bednarek, człowiek święty, sprawiedliwy, dla siebie i drugich surowy. Chciał, żeby chłopi stosowali się do ewengelii Chrystusa, tak jak on się stosował, aby żyli skromnie, pracowicie, oszczędnie, obyczajnie, aby unikali karczmy, pieniactwa i obrazy Boskiej. Słuchaliśmy go jakiś czas, ale nie

bardzo chętnie, bo w każdym z nas siedział kawał zwierza, a zwierz nie lubi wędzidła. Gdy starzec zmarł ze zmartwienia, dostaliśmy od biskupa innego zupełnie księdza. Ten był młody, energiczny, do tańca i do różańca. Siarczysty chłop. Lubił wino, karty i kobiety i one go lubiły. Szalały za nim stare i młode kobietki. Było go pełno na weselach i chrzcinach, szanowali go hrabiowie z Łazowa, a nawet żydzi z Izbicy Murowanej. Tak szło przez cztery roki. Aż się zapoznał na dobre z córką wójta Galickiego Bartłomieja. Wtedy z Sodomy zrobiła się Gomora, a parafia fabryką do robienia pieniędzy dla proboszcza, gospodyni i ich potomstwa. Rozpoczęły się intrygi, podszczuwania, skargi, donosy do rządu, napady. Ksiądz piorunował na parafian, ale bezskutecznie, bo gorszące jego życie było zaprzeczeniem wszelkiej religii. Patrzyłem się na to wszystko zbliska, rozmawiałem często z księdzem proboszczem o różnych przedmiotach, stałem się powoli wspólnikiem jego łajdactw i przestępstw i doszedłem tak daleko, że mi sumienie przestało wyrzucać nawet kradzieże, bluźnierstwa, świętokradztwa, mordy i zdradę swego narodu...

KONIECKI: — Toś może ty wydał naszym żołnierzom na śmierć swego księdza?

RABIK: — Ja!

KONIECKI: — I tyś wskazał najbogatszych chłopów we wsi, którzy musieli złożyć kontrybucyę wojenną?

RABIK: — Także ja!

KONIECKI: — I ty również wydasz kościelne skarby wicekomisarzowi?

RABIK: — Tylko ja! Bo nikt inny nie zna tajemnicy skarbca, w którym się znajdują kościelne naczynia i świętości z siedmiu parafii okolicznych i nikt nie posiada możności otworzenia tajemnych drzwiczek, tylko ja.

KONIECKI: — Człowieku twardy, co ciebie zmusiło do obrania takiej drogi życia?

RABIK: — Co? Co? Co? To samo, co i ciebie sprowadziło z Ameryki do Moskwy, aby służyć naszej, nowej pani, najpotężniejszej i najsprawiedliwszej rzeczypospolitej... Rosyi Sowieckiej. Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha! Prawda, żeśmy się dobrali? Dwaj najpatryotyczniejsi polacy na świecie!

KONIECKI: — Jak ty śmiesz? Co chcesz przez to powiedzieć?

RABIK: — Nic innego, tylko to, co już powiedziałem. Ale ot idzie rudy komisarz i jego dostojne otoczenie, więc będę mógł dokończyć dzieła. Myślę, że wielmożny pan, jako rodak blizki, uławi mi przeprowadzenie sprawy z korzyścią...

KONIECKI: — (sam do siebie). Czuję odrazę do tego człowieka. Jaka to straszna, obrzydliwa, gnojem i zbrodnią cuchnąca istota!...

WICEKOMISARZ: — A jesteście polak z kluczem od kościelnego skarbu. Haraszo! Jak to dobrze, żeście dotrzymali słowa. Polacy nie zawsze lubią dotrzymać słowa rosyanom.

RABIK: — Zależy od tego, jaki polak i jakiemu rosyaninowi. Caryca Katarzyna nie dotrzymała słowa królowi Poniatowskiemu, ale kościelny Rabik może dotrzymać komisarzowi sowieckiemu, bo obydwa na tem zarobią. Czy nie tak?

WICEKOMISARZ: — Zobaczymy. Otworzyć skarbiec.

RABIK: — Tak, niby bez umowy, bez nagrody wydać kielichy, monstrancye, puszki, relikwiarze, kościelne srebra i złota siedmiu parafij? Tego ja nie zrobię... Żądam zapłaty i to dobrej zapłaty, bo zrobiłem dobrą robotę... Wydaję dobrowolnie kościelny skarb wartości około miliona złotych rubli i żądam stosownego wynagrodzenia. Inaczej nie dam klucza...

WICEKOMISARZ: — Sami go weźmiemy.

RABIK: — Możecie, nie otworzycie nim drzwi do skarbca. Oto klucz próbujcie...

EISENBERG: — Gdzie skarbiec? Gdzie złoto i srebrne naczynia?...

RABIK: — Znajdź wielmożna pani.

WICEKOMISARZ: — Mów obywatelko, albo towarzyszko.

RABIK: — A no, niech spróbuje znaleść obywatelka. Kręć i otwieraj.

EISENBERG: — On się naigrawa z nas towarzysze. Zdaje mu się, że ma do czynienia z polskim starostą, albo wojewodą. Wicekomisarz do spraw gospodarczych potrafi go chyba nauczyć respektu dla rozkazów sowieckiego rządu...

WICEKOMISARZ: — Mógłbym użyć siły, ale wolę ułożyć się z tym człowiekiem, to niezwykły między polakami szubrawiec. Może nam się przydać na później tego rodzaju kanalia. — Podoba mi się! Oddaje nam milion, można mu więc cząstkę odstąpić. Dostaniesz dzisiaj tysiąc rubli w złocie i kwit płatny później na 10,000 rubli, o ile się okaże, że naczynia kościelne są rzeczywiście warte tyle, co ty zapowiadasz.

RABIK: — Tak, to co innego, znać człowieka, co się rozumie na interesie. Podsuniemy stół ku tej ścianie. Tak. A teraz przyniosę drabinę. Pomóż mi pan. A wy tym czasem wyliczcie na stół tysiąc czerwieńców i przygotujcie kwitek na 10,000. Kochajmy się jak bracia, a (zwraca się do Ruchli) liczmy się jak żydzi... Ha, ha, ha, ha, ha! (Wychodzi z żołnierzem).

Scena 7.

WICEKOMISARZ: — Łotr, bo łotr, ale taki skarb także coś wart. Gdy się dowiedzą komisarze dla spraw finansowych i gospodarczych, nie posiądą się z radości. A i nasz przyjaciel, propagator Konieckij, ucieszy się wielce, że będziemy mogli zabrać tyle świętych naczyń, używanych dotąd na służbę tak zwanego Boga, a przetopiwszy je na ruble, zakupimy za nie kule armatnie, karabiny i drukować będziemy książki przeciw Bogu. Czy to nie wielka zdobycz, nie znaczny czyn?

EISENBERG: — Dla nas tak, ale towarzysz propagator jest widocznie innego zdania, bo jakiś zamyślony i smutny...?!

KONIECKI: — Ciekawy jestem tych skarbów kościelnych. Zawsze to drogocenne rzeczy, dzieła sztuki, pamiątki minionej przeszłości...

EISENBERG: — A zwłaszcza dla polaków...

KONIECKI: — Dla żydów w wyższym stopniu, bo ci lubią handlować staremi rzeczami.

EISENBERG: — Czy towarzysz do mnie pije, czy to przytyk do mego pochodzenia?

KONIECKI: — Bynajmniej. Ot gra słów. Tu walka na wyrazy... a tam leje się krew... bratnia, polska, rosyjska, słowiańska. Kto zwycięży?

EISENBERG: — Czy towarzysz wątpi? My nie wątpimy ani na chwilę. Może dziś jeszcze rozpocznie się atak na Warszawę. Wielka stolica Polski nie wytrzyma dłużej bombardowania nad trzy dni, a potem kapitulacya... potem Poznań, Kraków, Lwów — cała Polska nasza, jedyna zawada do tryumfalnego pochodu na Berlin, Paryż i Londyn. Wtedy się ziszczą i marzenia towarzysza Konieckiego. Zostanie propagatorem bezbożności w całej bolszewickiej Polsce, a jak się odznaczy w tym kierunku, jak to uczynił naprzykład w swoim kierunku jego rodak, towarzysz Dzierżyńskij, gdy pozabiera święte skarby z klasztorów w Częstochowie, Kalwaryi, Ostrobramy, gdy zasieje ziarna bezbożności od Warty po Bug i Dniestr, od morza po Karpaty i obali wszystkie ołtarze polskiego Jehowy, to uczynimy go w nagrodę Wielkim Propagatorem Bezbożności całego świata. Wszędzie, gdzie pójdzie czerwona chorągiew zjednoczonych republik Rosyi, pomaszeruje za nią z młotem towarzysz Konieckij, by wypróżniać skarbce, wyludniać kościoły i rozwalać ołtarze... Ha, ha, ha, ha.... Czy dobrze odmalowałam obraz przyszłości?

Scena 8.

(Przed chwilą wszedł Rabik i żołnierze i przysłuchują się przemowie Eisenberg).

RABIK: — Znakomicie. Przemawia on przedewszystkiem do mojej duszy i proszę o mianowanie mię inspektorem wszystkch skarbców kościelnych. Pomogę je otwierać panu Konieckiemu. Oto klucz i młot do pierwszego skarbca w Polsce. Rodaku Koniecki, odznaczmy się w myśl wielmożnej pani, pomyliłem się, obwatelki Eisenberg, a zyskamy zasłużoną nagrodę: ty nie więdnący wieniec sławy i tytuł arcybiskupa bezbożności, a ja dostanę pięć procent od każdego skonfiskowanego skarbu kościelnego... Tymczasem panie Zarzycki pomóż mi ustawić tu drabinę, a ty panie Koniecki trzymaj młot i będziesz ustawiał święte naczynia na stole... (Wychodzi po drabinie, otwiera szerokie, tajemnicze drzwi w ścianie. Widać oświetlone wewnątrz elektrycznością kielichy, monstrancye itd., w środku duży krzyż).

WSZYSCY: — A, a, a!

WICEKOMISARZ: — Ależ to nieoceniona zdobycz. Skarb ten przechodzi nasze wszystkie oczekiwania. Ale, co tam ten krzyż znaczy? Z czego on być może, ze srebra, czy złota? Świeci takim dziwnym blaskiem! Zobacz Rabik, znieś go tu najpierw. Pomóżcie, trzymajcie mocniej drabinę, a ty wyleź wyżej i odbij młotkiem świecący krzyż! (Rabik wypełnia rozkaz. Rozsuwa naczynia i uderza młotkiem w podstawę krzyża.

W tej chwili słychać u góry głos ponury: „Masz Judaszu," a potem zwalony Rabik w głowę spada z krzykiem na podłogę. Następuje konsternacya. Cucą Rabika).

RABIK: — Tam jest ktoś ukryty. Widziałem straszną twarz, słyszałem krzyk, a potem migło błyszczące żelazo, uczułem cios i ból, jakby od pioruna...

WICEKOMISARZ: — (do żołnierzy) Towarzysze, wyrąbać ścianę od kościoła z tyłu i zbadać, co za czort tam siedzi, a my z przodu dopilnujemy. No, ruszaj, marsz!... żołnierze się nie ruszają) Co to ma znaczyć? Posłuszaj towarzysz. Natychmiast!

ŻOŁNIERZ: — Jej Bohu, ja się boję, ja nie pójdę, ja nie chcę stracić życia i duszy. Tam duch, na straży skarbów stoi duch!

WICEKOMISARZ: — (wydobywa z kieszeni rewolwer, drugi daje Eisenbergowej). Więc to wy tu towarzyszka dopilnujecie, aby nie uciekł strażnik skarbów, a my pójdziemy do kościoła zrobić swoje. Kto nie posłucha, padnie trupem. Towarzysz Mirskoj, Palik, Gabaczew i Karskij pilnują drzwi, my trzej do roboty z wewnątrz u góry, a wy dwaj będziecie trzymać straż na dole. Towarzysz propagator, pomagajcie! Do czynu wszyscy, raz, dwa, trzy! (wychodzą).

KONIECKI: — (wychodzi po drabinie na

wysokość okna, otwiera je). Tu światło jasne, (wskazuje na skarbiec) błyszczące jakąś dziwną mocą, jakby z drugiego, lepszego świata, a tam na dole czerwona łuna, okropna, w czarnych kłębach dymu i chmur... Jakby sądny dzień... O! o, o, o! Słyszycie ten ponury, daleki ryk armat, zmieszany z grzmotami zbliżającej się burzy? Oczy nie mogą wytrzymać blasku. Zamknę okno.

(Słychać z za ściany uderzenie młota i siekiery, potem trzask, dźwięk rozbitego szkła, a wreszcie głosy ludzkie: **Nie morduj! Mamy cię kanaljo polska. Ty sukinsyn, padlec.** Dwu żołnierzy wprowadza na scenę pokrwawionego, w nędznem, poszarpanem ubraniu starego człowieka, a za nim wchodzi wicekomisarz i czterech żołnierzy).

WICEKOMISARZ: — Kto ty? Jakim prawem ty uderzył drągiem człowieka, który miał rozkaz znieść na dół ten błyszczący krzyż, kielichy i monstrancye złote?

STARZEC: — Lepszem prawem, niż wasze. Mnie ustanowił stróżem kościelnych skarbów w tej wieży święty kapłan, który tu duszpasterzował i strzegł wiary i polskiej sprawy długie lata, a gdy umierał, zawołał najstarszych w gminie do swego łoża i takie dał przykazanie: Pilnujcie po porządku tych świętych naczyń przed wrogiem, a

nawet przed chciwością swoich, bo gdy Polska zmartwychpowstanie, będzie potrzebowała złota i srebra... Ale pilnujcie jak oka w głowe, zasłaniajcie piersiami swojemi Chrystusowego krzyża, skarbu nad skarbami, najdrogocenniejszego klejnotu w całej Polsce. Bo ten krzyż będzie świecił Ojczyźnie naszej na zwycięstwo... Na szerokiej płaszczyźnie przed Warszawą rozegra się straszna, krwawa i decydująca walka. Hordy z całego Wschodu pójdą na Polskę, by ją zatratować, zrabować i zhańbić. Tu się wstrzymają, tu wytchną, aby się rzucić z całą mocą na naszą stolicę, ale jej nie zdobędą...

EISENBERG: — On szaleje! Skończę z nim!

WICEKOMISARZ: — Ha, ha, ha! Polska miała zawsze fałszywych proroków, gorszych nawet od jewrejskich. No, cóż wyszczekał więcej ten zdychający świaszczennik, polski ksiądz?

STARZEC: — „...Na walczące z sobą armie padnie światło Ukrzyżowanego Boga-Człowieka, aby oślepić najeźdźców, a pokrzywdzonych wzmocnić...” Teraz tam, o siedem wiorst zmaga się Polska z odwiecznym wrogiem, pędzonym na nas przez obce potęgi... Trzeba, żeby blask krzyża sięgnął pod Warszawę, żeby go ujrzał naród, wódz serdeczny. Trzeba... ramiona krzyża zwrócić na prawo... Trzeba...

WICEKOMISARZ: — Wyście stary głupcze zasłużyli na śmierć, ale wam daruję życie i dam sto rubli, jeśli wyjdziecie po drabinie do góry i zgasicie błyszczące światło krzyża, albo je przesuniecie na lewo...

STARZEC: — Ani jedno, ani drugie. Ja pójdę i ustawię tak, aby ramiona krzyża ujrzano z daleka, aby cierniowa korona oblała Polskę światłem nadziei... Puście mię, puście! (Wydziera się, wstępuje kilka szczebli ku górze).

WICEKOMISARZ: — Towarzysz, ognia! (Żołnierz strzela z karabinu, starzec spada z okrzykiem: Jezus, Marya! Polsko, Ojczyzno moja!)

WICEKOMISARZ: — Trzeba jednak spełnić czyn, którego się wzdragał wykonać zfanatyzowany polak, trzeba to światło, albo zgasić, albo zwrócić na lewo, na pohybel, na zagładę polskiej armii. Kto się podejmie dzieła? Na drabinę!

EISENBERG: — Ja sądzę, że gdy jeden polak nie wykonał rozkazu bolszewickiego komisarza, to powinien to zrobić drugi, ten zwłaszcza, który przyjechał po to z Ameryki, aby służyć pod naszym sztandarem wielkiej sprawie zniszczenia kapitalizmu i religijnego fanatyzmu. Tę robotę powinien wykonać towarzysz Konieckij. Ma sposobność udowodnienia, że kocha sowiecką Rosyę, że się nie boi, ani burzy, ani polskiego

zabobonu. Pójdzie z młotem i jednem uderzeniem żelaza w krzyż zagasi światło na zawsze... Nuże towarzyszu Konieckij, nuże propagatorze bezbożności, rozsiewco niewiary, burzycielu kościołów i ołtarzy. Zrób początek! Masz młot i wal!

WICEKOMISARZ: — Ja ci to nakazuję, ja twój przełożony, komisar! Zgaś, albo zwróć światło w lewą stronę! Czyń!

KONIECKI: — Ja tego nie zrobię... Rozkazu nie wykonam!

EISENBERG: — Ty, propagator bezbożności, nie chcesz wykonać pierwszego rozkazu sowieckiej Republiki, wzbraniasz się uchwycić młot czynu i rozbić w proch chrześciańskie bożyszcze? Nie wejdziesz na drabinę, nie roztrącicisz krzyża, nie zgasisz światła?

KONIECKI: — Za żadną cenę.

(Słychać z jednej strony huk armat, strzały dział maszynowych, a z drugiej strony grzmoty szalejącej burzy. Błyskawice oświecają zakrystyę, a grzmoty wstrząsają całym gmachem).

EISENBERG: — Boisz się polski bohaterze Bożego gniewu? Drżysz przed atmosferycznemi zjawiskami? Przynieście mu różaniec, wodę święconą; przeżegna się, oprzytomni, przestanie się lękać grzmotów, piorunów i śmierci...

KONIECKI: — Mylisz się pani, Ruchlo Eisenberg. Nie boję się, nie drżę, nie cofam się przed widmem śmierci, ale się cofam przed zbrodnią. Ja tego rozkazu nie spełnię pod żadnym warunkiem, bo nie jestem więcej waszem narzędziem. Między mną, a wami rozwarła się przepaść niezgłębiona. Wyście ją wykopali obłudą, nienawiścią i krwawymi czynami, którychby się nie powstydzili oprawcy cara...

EISENBERG: — Więc ja zgaszę to przeklęte światło, albo je zwrócę na lewo, na Wschód, na wszechpotężną, bezbożną Rosyę. Niech nad nią błyszczy, niech pomaga jej armii do zwycięstwa nad Polską!

KONIECKI: — Nie dokażesz tego! Nie dotkniesz się świętego krzyża!

EISENBERG: — (Wstępuje na drabinę z młotem. Koniecki ją spycha. Szamocą się. W pasyi uderza Eisenberg młotem w głowę Koniecckiego).

KONIECKI: — (Konając, mówi) Wyżej światło, podnieście krzyż... tak, tak, niech ujrzy wódz, wojsko, lud, naród — Polska... Ojczyzna moja, żona... dziecko...

EISENBERG: — Ktoś musi jednak tę robotę wykonać, rzucić snop światła na bój dwu narodów, dwu światów. Ja to zrobię, ja Ruchla Eisenberg. Polak krzepnie w objęciach śmierci... Nie przeszkodzi mi. Pomóżcie wejść. Czu-

ję się wzruszona. Podtrzymajcie! Tak, da, da!

(Poza ścianą huczy burza. Pioruny biją w dali i w pobliżu. Ruchla staje na najwyższym szczeblu drabiny. Patrzy przez otwarte okno, potem podnosi młot, aby uderzyć nim w oświecone jaskrawo stopy krzyża, gdy piorun wpada i zwala ją na ziemię. Na scenie konsternacya, przerażenie. Gdy się ucisza nieco burza, staje między trupem Konieckiego i Eisenberg żołnierz Zarzycki. Z oddali przez okno wdzierają się zmięszane głosy ludzkie, jakby poszum wichru, niewyraźne, chaotyczne, a w końcu wydobywa się z nich potężny śpiew: „Jeszcze Polska nie zginęła...").

ŻOŁNIERZ ZARZYCKI: — I znowu zwyciężyła... Polska. Jego Ojczyzna i moja... Jakie to dziwne rządy Boże. Czasem się zdaje, że młot kata wisi nad ludzkością, czasem czarne, złowrogie chmury zasłaniają twarz Stwórcy i mali ludzie mówią: Niema Boga, niema Ojczyzny — a czasem nikły promień światła przedrze się przez oponę świata i ludzie śpiewają hymny miłości i pokoju. Dziwne rządy Boże.

(Kurtyna spada).

OBRAZ IV.

(Pokój z pierwszego obrazu).

Scena 1.

(Koniecki przeżywa we śnie jakieś straszne momenty; chwyta się za głowę, piersi, potem z jękiem upada na podłogę. Budzi się. Z szeroko rozwartemi źrenicami patrzy przed siebie nieprzytomny. Słychać u drzwi mocne stukanie).

KONIECKI: — Gdzie ja jestem? Co się ze mną dzieje? Czyżby to był tylko sen? (ponowne coraz mocniejsze stukanie). Kto tam?

KAROLINA: — To my, córka i żona, wracamy z nabożeństwa. Trochęśmy się spóźniły.

KONIECKI: — Z nabożeństwa? Ocalone? A, a, a prawda... To był tylko sen, mara, straszna, wewnętrzna zjawa. Żona z dzieckiem w kościele, a ja tymczasem przeżyłem więcej, niż Dantejskie piekło. (Otwiera drzwi).

KAROLINA: — Przebacz Broniu, żeśmy odeszły z domu w niebardzo podniosłym nastroju. Czasem człowiek nie umie zapanować nad nerwami i czyni drugiemu przykrość. Przepraszam cię najmocniej za szorstkie słowa, za bezpożegnalne wyjcie. Ale, cóż to, jesteś jeszcze wzburzony, a może chory Broniu z mojej przy-

czyny? O Boże Wielki! Takiś jakiś zmieniony Broniu? Tyś posiwiał nieboraku. Patrz, włos na skroniach zbielał. Drżysz cały? (tuli się do niego).

KONIECKI: — Potem ci opowiem, com przeżył w tym krótkim czasie, gdyście były w kościele. Był to tylko sen, ale w tym śnie widocznie przeszedłem wszystkie stopnie tortur, jakie może wymyślić człowiek dla człowieka, jeśli mi się aż włosy szronem poprószyły. Jeszcze mię mroczy i dławi straszny ból, choć się rozwiała senna mara i trzymam w objęciach najdroższe dla mnie po Bogu istoty.

KAROLINA: — ...Po Bogu, mówisz, Broniu?

KONIECKI: — Tak, to święte pojęcie Boga wróciło we śnie do mej jaźni, do serca i umysłu. Przeszło przez krew, ogień, szał, zbrodnie, przeszło z huraganem, wbiło się we mnie piorunem, ale i za to dzięki... serdeczne, stokrotne... Karolciu, ja tak dawno się nie modliłem. Zapomniałem matczyne pacierze, wzgardziłem twoją modlitwą... Pomóż mi dzisiaj odnaleźć drogę... do Niego, Ojca, Stwórcy, Kierownika i Celu ostatecznego człowieka.

KAROLINA: — Drogi towarzyszu życia, czynisz mię swem wyznaniem najszczęśliwszą istotą na ziemi. Marzyłam o tym momencie, modliłam się o niego, jak o zbawienie duszy i oto jakiś dziw, który mi potem opowiesz, ziszcza me marzenia. Kolana się gną ku ziemi i ręce się wznoszą w pokorze i wdzięczności ku niebu. (Klękają wszyscy troje. Karolina wymawia najpierw sama słowa modlitwy, a potem Koniecki i córka).

KAROLINA: — Nie widzim Cię, Ojcze nasz najświętszy, cielesnemi oczami, ale czujemy sercem i całą naszą istotą. Czujem Twą dobroć, moc, obecność i blizkość. Bądźże nam pochwalony, uwielbiony... Jednym promieniem łaski ozłacasz życie Twych biednych dzieci,, umacniasz, podnosisz, łączysz i uszczęśliwiasz. Przyjmij wyrazy czci, miłości i wdzięczności. „Ojcze nasz, który jesteś w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi."

(Kurtyna spada).

Koniec obrazu IV-go.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

30,-

Biblioteka Główna UMK

300043335341

Biblioteka Główna UMK
300043335341
940180

Biblioteka Główna UMK
300043335341
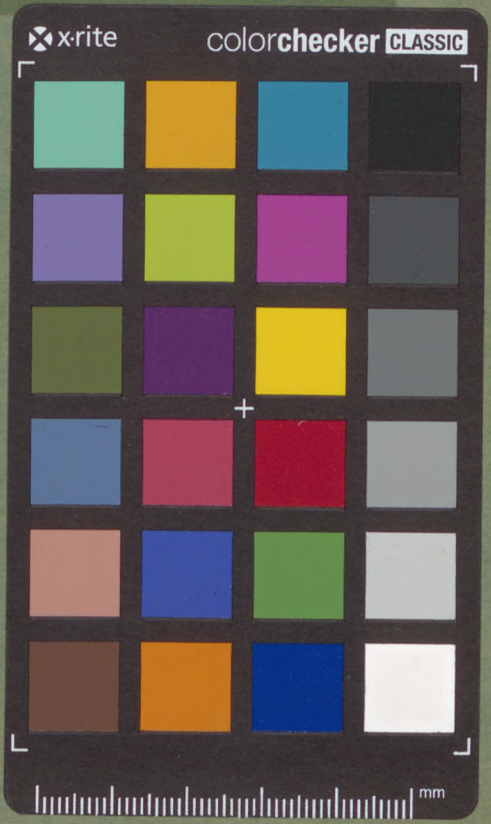
940180